



ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

DUCHY

ARMORYKA

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

DUCHY

CZEŚĆ I, II III

ARMORYKA
SANDOMIERZ 2017

Projekt okładki: Juliusz Susak

Na okładce: Andrzej Sarwa *Drzewo mistyczne* (2014)

Tekst wg edycji:
Aleksander Świętochowski
DUCHY
Część I, II i III
Warszawa 1909

Copyright © 2017 by Wydawnictwo „Armoryka”

Wydawnictwo Armoryka
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-421-2

W ŚWICIE.

Przestrzeń wszechświata wypełniaty mgły szare, gęste bezwładnie rozwieszane lub leniwym ruchem falujące, na których płynęły w wirowych obrotach olbrzymie kuliste bryły. Przenikała ją zmieszana z mrokami, blada, jak gdyby rozcieńczona i mętna jasność. Na jednej z owych brył, na ziemi, wśród pełzających po niej oparów i skłębionych nad nią chmur, widniało światło, które otaczało dwie postacie — mężczyzny i kobiety. Zaledwie ono zabłyśło, w niemem dotąd przestworzu odezwały się kolejno głosy niewidomych duchów.

Rod. Zamknięte w mojem wnętrzu nasiona życia wprowadzę do łona natury, uczynię ją wiecznie młodą, wiecznie brzemienneą i wiecznie płodną. Każdy z tych zarodków wyda z siebie niepoliconą wielość innych, każdy stanie się rodzicem nieprzerwanego ciągu pokoleń. Czas, spełniając moje prawa, będzie w biegnącym przez jego nieskończoność łańcuchu istnień przyczepiał coraz nowe ogniwa, a przestrzeń zagęstwi się i zaroi niezmierną mnogością objawów i kształ-

tów życia. Wywołam wszelkie jego postacie, wszelkie stopnie ich użytku i szkody, wszelkie odcienie piękna i brzydoty, wyczerpię całkowiec bezmiar rozmaiłości, jedne duchy przebierać będę w najróżnorodniejsze ciała, a tak cały byt przeniknę moją siłą, że nawet śmierć będzie musiała rodzić życie. Więc i wy ludzie z woli mojej rozmnożcie się w niewygasłym potomstwie!

Topan. Co jest i będzie, to zawsze było. Do materiału wszechświata ani jedna drobina dotworzona i dołączona być nie może. Powstał on odrazu w całej swej masie, którą zachowa bez ubytków i bez przyrostów. Tylko cząsteczki tej masy zmieniać będą swe skupienia i związki w objęciu przestrzeni, jak krople wody, zgarniane i rozgarniane ruchem fal w łożysku morza. Niektóre z tych połączeń posiadają życie i rozszerzą się nadmiernie, naruszając równowagę innych istnień. Ja będę stróżem tej równowagi, a niszczyicielem tego życia, duchem zagłady wszystkiego, w czem atomy obficie się zbiegną i drogą rozwoju dążyć zaczną. Ziarna bytu muszą ciągle powracać do prawidłowego ładu, powstawać rozdzielone porami próżni, bezwładne w odosobnieniu i niezdolne do zrośnień płodnych. Natura będzie obszarem niezmienności i spokoju, przyczyna zaś, która ją stworzyła, wyniszczy w niej wreszcie wszystkie nasiona życia, a czasowi każe przechodzić w wieczność po nad przestrzenią

pełną, ale milczącą i martwą. Więc i wy, ludzie, z woli mojej zniknijcie w zagładzie!

Elion. Niech w każdą niedziałkę materji wsiąknie kropla miłości, utkwi rdzeń siły przyciągającej i zatli się iskra życiodawczego ognia. Niech wszystkie pyłki, źdźbła, okruchy, ciała wielkie i małe, bezwiedne i świadome, wiecznie dążą ku sobie. Niech wszystkie zjednoczenia po to tylko rozdzielają się, aby wytworzyć nowe związki. Niech po całej naturze rozlegają się nigdy niezaspokojone potrzeby kochania i dreszcze rozkosznych upojeń, niech ona będzie wielkiem sercem, bijącym miłością w piersiach przestrzeni. Połączę się z każdym tętnem krwi człowieka, z każdym jego radosnem i smutnem westchnieniem, otworzę mu czulą ręką oczy przy narodzeniu i zamknę je przy śmierci. Ulecę z ludzkości tylko wraz z jej życiem. Będę jej energią, celem dążeń, objawię się jej w czarownych marzeniach i rzewnych tęsknotach, w czułych pieśniach i pięknych kształtach, w zachwytach i poświęceniu, w geniuszu i cnocie. Będę duchem zaklętym w tonach, barwach, słowach i ciałach, będę nieustannie jarzącą się zorzą na najciemniejszym wiodokręgu życia, a często jedynem jego światłem, jedynem dobrem nędzy, szczęściem niedoli i uśmiechem rozpacz. Więc z woli mojej ludzie kochajcie!

Sob. Cała natura oddychać będzie tylko pragnieniem zachowania swojego bytu. Wszelka myśl i uczucie, wszelka świadoma i bezwiedna wola nie przestanie

nigdy dążyć w tym kierunku. Miłość będzie niszczącą a samolubstwo ochronną siłą wszechświata. Kto pokocha siebie — wzrosnie, kto pokocha innych — zmaleje. Pierwszy dozna rozkoszy boga, drugi — męczarni ofiary. Nawet tępicieł będzie dobroczyńcą, bo unicestwi twory słabe i nieudolne a zapewni byt mocnym i uzdolnionym. Życie musi być nieustanną walką i przemianą istnień niedołącznych na doskonalsze. Natura wykreśliła ze swych praw miłość i przebaczenie a oddała panowanie sile i zwycięztwu. Miłosierni roz płyną się w oceanach ludzi, jak sole w oceanach wód. Tylko samoluby pozostaną trwałym żywiołem świata i nie ulotnią się z niego, jak wonie z kwiecia. Więc z woli mojej ludzie kochajcie siebie!

Toon. Człowiek dokona dzieł, wobec których natura zawstydzi się, że ich stworzyć nie umiała, a zarazem zdumnieje, że tego olbrzyma zrodziła. Myśl jego nie cofnie się przed najśmielszym i najtrudniejszym zadaniem. Tysiąckroć strącona ze szczytów, na które wdzierać się będzie, tysiąckroć, jak zraniony orzeł, broniący swego gniazda, znowu wzleci na nie, a odłamane skrzydła ciągle jej odrastać będą. Niezmordowanym wysiłkiem rozwiąże ona po kolei wszystkie zagadki bytu, zdejmie wszystkie pieczęcie z tajemnic natury i odczyta ukryte pod nimi prawdy. Ja będę potęgą człowieka i jego chwałą, przeze mnie stanie się on bogiem wszechwiedzącym i wszechmocnym. Więc z woli mojej ludzie badajcie!

Jam. Oszczędzę im trudów znojących i zawodów bolesnych. Stanę przed nimi jako widmo wszechwładne a tajemnicze, zawre w chceniu mojem wszystkie przyczyny, a w wiedzy — wszystkie prawdy. Zaufają mojej mądrości i pieczy, błogosławiąc je nawet wtedy, gdy ich nie rozpoznają i nie odczują. Dziękować mi będą zarówno za radość, jak smutek. Wiara da im pancerz przeciw grotom losu, znieczuli ich na bóle, a zgasiwszy światło rozumu, ciemnością zasłoni przed ich oczami nędze życia i pozwoli im je przespać. Spowiję nią ich dusze, zamknę je w niej, jak ziarna w łupinie i przeniosę nietknięte wątpieniem przez czas ich trwania na ziemi. Umierać będą nieprzebudzeni, odurzeni złudzeniem, ale i rozkoszną nadzieją, że grób jest dla nich tylko przedsionkiem do świata wiecznej szczęśliwości. Więc ludzie z woli mojej wiercie!

Tor. Ze złudnych pozorów człowiek usnuje wiarę, że życie wszechświata będzie siecią skutków, dzierganą przez rozmaite przyczyny, działające swobodnie i niezależnie. Tymczasem w całej przestrzeni ja będę jedyną wolą niezłomną i jedynym rozumem nieomylnym. Wszystkie ciała, twory i objawy istnieć i działać będą tylko przeze mnie i poruszać się w mojej prawidłowości, której żadna siła nie zmieni i nie powstrzyma. Ja sam rodzić będę wszechbyć i wszechrozmaitość. Cokolwiek się stauie, stać się musiało. Ludzie szukać będą dróg dobrych a unikać złych, nie wiedząc, że pójdą takimi, jakie ja im wskażę. Roz-

troпноścią lub omyłką, rozsądkiem lub błędem nazwa to, co nazywa się tylko koniecznością. Siebie i innych będą upominać, oskarżać, karać i zabijać za to, czemu się oprzeć nie mogli. Od pierwszej do ostatniej chwili czasu ani jeden atom, ani jedno drgnienie nie wyjdzie z granic i nie wyłamie się z korbów ustanowionego przeze mnie porządku. Więc ludzie z woli mojej poznajcie prawa konieczności.

Iron. Życie tych istot, które opanują ziemię, upływie w śnie i niemocy, a im wydawać się będzie jawą i wszechwładztwem. Staną się niewolnikami głodu, miłości i ciemnoty. Żołądki nieraz uspokoją, serca zadowolą, ale mózgi wysuszą daremnie rozwiązywaniem zagadek bytu. Napelnię świat szyderstwem z widoku ich bezsilności, mianowanej potęgą, i niedoli, mianowanej szczęściem. Śród tworów natury stanowią oni będą rodzaj poważnie zabawny, głupio rozumny i uparcie niepoprawny. Kto z nimi się zmiesza, będzie jak oni walczył, smucił się, cieszył, głosił ich porażki i zwycięstwa; kto po za nimi stanie, będzie tylko szydził zarówno z ich cierpień, jak radości. Więc z woli mojej ludzie bawcie się.

Kres. Duchy dziejów waszych złożyły wam na głowy błogosławieństwa i klątwy. Z otuchą i wątpieniem w sercach, potężni i słabi, światli i ciemni, tryumfujący i pokonani, idźcie wędrowcy w przyszłość niezmierną drogami wieków i nie zatrzymajcie się, do-

póki jedna prawda uciekać będzie przed wami z zasłoniętym obliczem i jeden człowiek nie doścignie swego szczęścia.

Długo brzmiaty odbiciami ech powtarzane i coraz bardziej zwichrzone te głosy, a wreszcie wsiąkły w ziemię i umilkły. Jednocześnie światło, okrążając parę ludzką, zaczęło szybko rozpręzać swój obwód i wystrzeliwać w ciemną przestrzeń coraz dłuższe smugi.

Część pierwsza.

ALRUN.

Widok 1.

U wierzchu tyse, w środku tylko rzadkim i wązkim rąbkiem karłowatych krzewów obroste, na dole bujną gęstwina otulone góry skupiły swe szare, spiczaste, niekształtne czaszki, niby gromada starców, wpatrzonych we wdzięki i ruchy wartkiej rzeki, która, wyrrywając się z ich objęć, okryta białą koronką piany, osypana klejnotami odbłasków z szumiącą wesołością, śmiejąc się przy każdym zgięciu, w dal uciekała. Dzień dopiero oblókł się w liliową jasność poranku. Zlatujące z nieba promienie jeszcze nie wypity z kielichów kwiecia kropel rosy, a pozabawione swych świetlanych rzes oko słońca spoglądało na ziemię łagodnie i beznamiętnie. Zwolna wszakże upojone promienie zaczęły wracać i osadzać się w jego rozwartej powiece.

W załomie skały siedział nędzny, nagi, długowłosy starzec przy dwojgu dzieciach, śpiących w jej wydrążeniu, mchami wystanem.

Starzec. Gromada odbiegła, rzuciwszy na pastwę ścigającego ją głodu — muje, który go już odpędzić

nie mogę, i was, którzy jeszcze z jego szpon wydzie-
rać się nie umiecie... Stoi on przy nas i żarłoczną swą
paszczę otwiera. Powietrze odcedziło się z wszelkich
żyłatek, a woniami was nie nakarmi. Gdybym był
tłusty, wsadziłbym wam do ust brodawki moich piersi,
możebyście coś z nich wyssały. Ale jestem tak chudy,
że już nawet pot z mojej skóry sączyć się nie chce.
Do kogóż wy biedne pączki, śmiejecie się we śnie?
Do tygrysa lub szakala, który może już tu podkrada
się i wkrótce was pożre. Przyrodo, matko dobra. po-
siadająca na swem łonie więcej piersi, niż twoje dzieci
warg, zmiłuj się nad temi niemowlętami i zastąp im
matkę. Ach—ona już ulitowała się! W szparze skały
jakiś ptaszek usłał sobie gniazdo i złożył w niem kilka
jajek. Zabiorę mu je, rozbiję i w muszlę zleję. Ale
nie budźcie się jeszcze moje pisklęta, bo sen żołądek
napęlnia i cierpieniom serce zamyka, bo to jedyny
żywiciel i pocieszyciel, który nie opuszcza głodnych
i strapionych. No, macie jedzenie. A ty, ptaszku, nie
płacz i nie krzycz na mnie, zniesiesz sobie inne. Ot
i kępka jagód wychyliła swe czerwone główki; zerwę
je i do jajek domieszam. Tak, natura jest dobrą ma-
tką, ona wam umrzeć nie pozwoli: łóżeczko w ścianie
góry wyżłobiła, podściółkę przysłońcu ogrzała, cieniem
krzewu zasłoniła was od blasku, a teraz jeść da. Lu-
dzie są gorsi: uciekli od nas, nie rzuciwszy nawet za
siebie zdechłej jaszczurki. Zapomnieli mi to, że dopóki
mogłem, znosiłem gromadzie wszystko, co oko do-

strzegło a ręka uchwyciła lub podjęła i chyba tylko jeden kurz we włosach zatrzymałam dla siebie. Zapomnieli, że was na świat sprowadzili i że sami nie wdarliście się w łono matki. Słabo mi... głód zwija kiszki w kłębek... A gdybym zjadł te jajka i jagody? Po co, kiedy śmierć niedługo już włoży mnie w swoją procę i ciśnie do nieba, gdzie będę miał dużo niepłochliwej zwierzyny i ładnych kobiet. To błogie życie miałbym opóźnić dla tej nikłej szczypty jada? Nie ukrywaj się i nie cżaj, duchu śmierci, bo choć cię nie widzę, ale czuję, że jesteś blisko. Rozpoznałem cię wczoraj, kiedy w wirze liści i piasku przede mną tańczyłeś, albo wyciem w szczelinach skały chciałeś mnie nastraszyć. Ja się ciebie nie boję... Odlatujesz? Wskoczyłeś na drzewo i wazysz się na jego gałęziach, przeleciałeś na szczyt góry i złowrogimi żżenicami spłoszyłeś orły, które w trwodze o swe gniazda nad tobą krążą... Czemu bojaźń cię pociąga a męztwo odpycha! Chodź do mnie... przyjacielu... zbawco... Co to za szelest? Dziki zwierz mięką stopą nagina trawy i czołga się ku nam... Śmierć go przysłała... Orla!

Widok 2.

Z gęstego krzaku, odchyliwszy lekko gałęzie, jak biały kwiat z zielonych liści pąka, wysunęła się i stanęła przed starcem młoda kobieta po biodrach tylko tkanina z cienutkiego tyka ostonięta i zawieszonym na plecach łukiem uzbrojona. Czarne jej włosy, z tyłu kształtnej głowy wwe-

zł zadzierzgnięte, kilkoma pasmami spadały na twarz bladą, wzruszoną. Z rozwartych szeroko oczu błyskała odwaga, ale zarazem migotał w nich niepokój, którym drżały także uchylone częstym oddechem usta i rozdęte nozdrza. W bogatym ciele wytoczone piersi falowały ciężkim zmęczeniem. Rękami podtrzymywała jeszcze odgięte przy wejściu gałęzie i, jedną nogę pozostawiawszy w gąszczu, jak gdyby gotowa cofnąć się do niego, szepnęła monym, ale przyciszonym głosem:

Orla. Nie krzycz! Z kim rozmawiałeś?

Starzec. Ze śmiercią.

Orla. Gdzie moje dzieci?

Starzec. Tu... śpią.

Orla. Żyją! Och!

Starzec. Przygotowałem im trochę pożywienia.

Orla. Dziękuję ci, pocziwy, mam piersi pełne..
Jakże jestem strudzona!

Starzec. Czy gromada już wraca?

Orla. Sama przybiegłam.

Starzec. Sama? Skąd?

Orla. Uciekłam. Oni tam jeszcze walczą z plemieniem leśnym, które schroniło się na drzewa i z wysooka rażi ich pociskami. Ale nasi zmogą tych biedaków, bo ze wszystkich stron podpalili ostęp, a jeżeli który zraniony spada, każą mu puszczać strzały na swoich, lub, jeśli nie chce, zabijają. Krzewy, oblane krwią, wyglądają naokoło jak koralowe. Straszna rzeź!

Starzec. Ty wrócisz do gromady?

Orla. Nigdy! ~

Starzec. Oni tu zapewne już nie przyjdą, bo wystrzelali wszystką zwierzynę, ale tam w puszczy osiadą albo dalej powędrują.

Orla. Niech się rozewrze tak szeroka paszcza ziemi, jaka ich objąć może i wszystkich pochłonie. A zwłaszcza niech zgniłego Ukora dotkną wargami wszystkie choroby i każda mu wrzód na ciele zostawi.

Starzec. Więc tu sama zostaniesz z dwojgiem tych niemowląt? Kobieto, przecież ty umrzesz z głodu, jeśli ci dzikie zwierzęta trzy dni żyć pozwolą.

Orla. Mam rękę nie słabszą, oko nie mniej celne, cięciwę na łuku nie wolniej naciągniętą, niż wielu z naszych wojowników, nazywanych walecznymi. Zresztą wolę umrzeć w szponach tygrysa, niż żyć w plugawych objęciach Ukora lub jego towarzyszków. Arjos mnie porwał z innego plemienia, on ojcem tych bliźniąt, przysięgam, że tylko on, bo innych odstręczałam od siebie udaną chorobą. On mi jest miły, jego kocham, z nim jednym żyć pragnę.

Starzec. Na to gromada się nie zgodzi, bo kobiety posiada wspólnie.

Orla. Miałam nadzieję, że ich prześlągam, ale wódz mi zagroził, że jeżeli dłużej opierać mu się będę, rzuci mnie wszystkim na pastwę, jak kawał mięsa między psy głodne. Ach, wilczyca jest szczęśliwsza od kobiety, bo może wybrać sobie samca.

Starzec. Nie wyślą za tobą pogoni?

Orla. Może już tropią ślady moje z wywieszcznymi

językami. Ale tu na nich czekać nie będę! Zabiorę dzieci i skryję się w głębi lasu. Pójdiesz ze mną?

Starzec. Nie zdołam, już mi nogi śmierć podkosła i leżeć każe — tu umrę. Szkoda, że Arjosa nie pociągnęłaś za sobą. To dzielny i dobry chłopiec. Ja go także kocham... Niewątpliwie matka, chociaż poślubiona całej gromadzie, urodziła go ze mnie, bo był do mnie tak podobny, jak do swego cienia. Czy nie zwierzyłaś mu się, że uciekasz?

Orla. Kobiety trzymano oddzielnie, a on walczył wraz z innymi. Wspominałam mu kilkakrotnie o moim zamiarze. Polecę za tobą — odrzekł — jak motyl za wiosną. Jesteś łańcuchem, który mnie do nich przykuwa... Ale gdy gwałt na tobie rękę położy, gdy cię ktokolwiek inny posiedzie, wyłupię sobie oczy, ażebym drugi raz tego nie widział!

Starzec. On tam szaleje, jeśli dowiedział się, że ciebie niema. Gdybym mógł zawlec się do niego... Ale niepodobna... Dusza moja już rozpina skrzydła i gotuje się do lotu... Wyfrunie za chwilę... A!... Teraz śmierć przedzierzgnęła się w węza, owija mi szyję, głowę wsuwa w moje usta, a żądłem serce kłuje... Ach, jak kłuje!... No, ściśnij swoje sploty i raz już uduś!... Rozpuszcza je, ażeby dłużej męczyć... Niebo się otworzyło, widziałem przodków, którzy mnie witali radośnie... Znowu spuścili zasłonę, jak tylko ona rozkręciła swe sploty...

Orla. Zjedz to, co przygotowałam dla moich dzieci,

ja pokarmu w piersiach mam dużo. Nie umieraj jeszcze... Samotność oblecze mnie w trwogę .. Przyniosę ci wody źródlanej, ona cię orzeźwi...

Starzec. Dusza już zamyka powiekami okienka w swej siedzibie i wkrótce ją opuści. Nic nie widzę, nawet ciebie. Wszak prawda, że śmierć stanęła przy mnie jako sęp olbrzymi i uderza swoim wielkim dziobem.

Orla. Zdaje ci się... Co to? Z wierzchu góry biegnie ku nam jakiś człowiek. On mnie ściga... Ale nie umię jak jastrząb turkawkę!

Starzec. To głód... Szkielet ma czaszkę z długimi zębami, na których mnie położy i zmiążdży.

Orla. O, bogi dobre!... To Arjos!

Starzec. Ar...jos...

Orla. On... on.. jego postać smukła... jego ruchy zwinne... Dąży tu prosto... Odgadł, że mnie znajdzie przy dzieciach... Arjosie, Arjosie, jestem! Usłyszał... Ochl!

Widok 3.

Meżczyzna, który pod grzbietem góry przystanął na chwilę i ogarnął wzrokiem cały widnokrąg, dojrzał Orłę, bo nagle zwrócił się w tym kierunku i pędził prosto ku niej. Jak jeleni przerzucal się w długich skokach z bryły na bryłę, z krawędzi skały na krawędź, a gdy zapadł w drzewinę, na jej zielonych falach migał i przecinał ją przystrojonym w barwne pióra kołpakiem. Łamiąc stopami susz chruściany, przebijając quattownie gęstwinię.

wydart się wreszcie z niej na polankę, gdzie Orla w drzewiu go oczekiwała. Nagie jego ciało było zrysowane gęsto kolcami gałęzi, bujne czarne włosy roztrzepały się bezładnie po ramionach i twarzy, która to miękka głębokim wzruszeniem, to ciężką gwałtowną energią. W ręce trzymał on łuk z kilkoma strzałami, a u przepaski na biodrach zszytej z grubych i dużych liści, miał przyczepiony toporek. Bose stopy krwawiły mu się paru zranieniami, a płomienne oczy wybuchnęły radością, gdy rozpostarł swe ramiona ku Orli.

Arjos. Żyjesz... ty moja!

Orla. Twoja! Arjosie drogi. Odlatują ode mnie smutki, które mi jak kawki serce obsiadły! Ach, lekko mi przy tobie! Chyba moje życzenia zamieniły się na jaskółki i poleciały uwiadomić cię, dokąd zbiegłam.

Arjos. Nie wiem, czy zostawiłaś za sobą smugę woni, czy szlak jasności, dość że odrazu chciałem tu pospieszyć, ale zły duch odciągnął mnie na bezdroża.

Orla. Kiedy gromada zauważyła moją nieobecność?

Arjos. Wieczorem. Gdy noc zaczęła spuszczać swoją zasłonę, na drzewach zostało już tylko ledwie parę gniazd nieprzyjacielskich, których nie dosięgły nasze strzały i nie zniszczył pożar. Odsunawszy się od ognia, który płasał, huczał i syczał po lesie, oblani jego łuną usiedliśmy za jeziorkiem na łące dla odpoczynku. Wtedy wódz rozkazał: sprowadzić kobiety! Zerwałem się pierwszy, ażeby mi nikt nie zabrał ciebie. Ale Ukor powstrzymał mnie: ty zajmij się przygotowaniem wierzery, bo umiesz wywnętrzać barany lepiej od innych.

Kłamał — nie umiem. Zrobię to jeszcze lepiej — odrzekłem — z moją kobietą. Z twoją kobietą? — ryknął. Tu niema twojej, są tylko nasze, a naprzód moje. Natychmiast jego zausznicy obstąpili mnie, gotowi do napaści. Zdrętwiałem i bezwładny usiadłem na ziemi. A gdy za odchodzącymi Ukor krzyknął: Orla dziś dla mnie! — czułem, że tą kłusającą boleścią, która mnie szarpać zaczęła, muszę zabić jego lub siebie. A on dalej swym gadzim językiem szczypał mnie złośliwie. Już wściekłość wyprężyła mi rękę, już dźwignąłem się, żeby go ugodzić, gdy słyszę wysłańców, wracających na czele kobiet z doniesieniem, że ciebie nie ma, że cię prawdopodobnie ktoś z okolicznego plemienia zbłąkaną ukradł. Ja ją znajdę i odbiorę — rzekłem. A idź — powiedział szyderczo wódz — w każdym razie zyskasz, bo jeżeli cię nawet powieszą, będziesz miał bliżej do nieba i prędzej zobaczysz się z przodkami. Naprzód coś mię pchnęło w tą stronę, ale postanowiłem wprzód obeszukać najbliższą okolicę. Obleciałem szerokim kręgiem nasze obozowisko — wypatrując cię i nawołując coraz głośniej. Tylko cisza odpowiadała mi echem mojego głosu. Zmęczony ległem na skraju lasu, bo do gromady wracać nie chciałem, chociaż jej wrzaski buchały niedaleko. Natychmiast oskoczyły mnie upiory i zaczęły przykładać swoje zimne wargi do moich nusz. Jeden mi mówił, że cię zabito i zjedzono, drugi, że cię lwica niesie dla swoich dzieci, inny, chichocząc, szeptał, że pastwi się nad tobą czereda mężczyzn...

Przez całą noc tak mi żarły duszę. Rano, za ledwie zbudzone słońce zrzuciło z siebie okrycie nocy, zacząłem znowu oglądać miejsce, gdzie przebywałeś podczas bitwy i na piasku dostrzegłem odciski drobnych stopek, ciągnące się ku zatoce rzadkim łańcuchem szybkiego biegu. W znacznej odległości przerwały się te ślady przy kotlinie. Jej wklęsłość odpowiadała twojej postaci — więc odgadłem, że musiałaś tam nocować. Pomimo że dalej rozestąpiła się murawa, rozpoznałem lekkie dotknięcia twoich nóg. Dopadam do zatoki i widzę na przeciwległym jej brzegu jedno czółno. Za chwilę było tam drugie, na którym ja przepłynąłem. Orlo droga, zrośnijmy się, ażeby nas już nikt nie rozdzielił, albo ubłagajmy jakiego czarodzieja, ażeby nas przemienił w parę zwierząt, ptaków, ryb, drzew... Chyba mi wyrosną kły i pazury, jeśli kto teraz po ciebie sięgnie.

Orla. O, niech zbrzydnę dla wszystkich, prócz ciebie, niech każde męzkie oko zamyka się wstrętem przede mną, niech małpy wzdrygają się na moją szpetność, niech budzę tylko litość i odrazę całego stworzenia... Ty jeden widź mnie piękną... Arjosie kochany, czy gromada tu nie powróci?

Arjos. Mieli powędrować dalej, może jednak, domyśliwszy się naszej ucieczki, zechcą nas osaczyć, zwłaszcza że Ukor oddawna gorzej żądzą posiadania cię wyłącznie dla siebie. A i Alrun, który teraz najwięcej

wymordował nieprzyjaciół, odezwał się, że powinni go nagrodzić tobą.

Orla. Najmiłosierniejszy z bogów, spraw, niech szczęście ciągle tańczy przed nimi, śmieje się i wabi ich w najdalsze okolice.

Arjos. Gdzie ukryłaś dzieci?

Orla. Stary je tu ułożył w żłobku skały i uspił.

Arjos. To moje, prawda Orlo, tylko moje? Ty do nikogo nie należałaś?

Orla. Jak serce twoje tylko do ciebie.

Arjos. Czemuż urodziłaś dwoje?

Orla. Nie wiem. Ale patrz, chłopczykowi ja dałam twarzyczkę, a dziewczeczce ty.

Arjos. Tak, wierzę ci, gołąbko. Dobry staruszek także śpi?

Orla. Osłabł.

Arjos. Nie oddycha — sztywny — umarł!

Orla. Z głodu. A dzieciom przygotował śniadanie z kilku jajek ptasich i poziomek.

Arjos. Zawsze był dla mnie dobry i ojcem moim się nazywał. Zaczny człowieku, pocałowałbym duszę twoją, gdybym wiedział, gdzie ona przy twoim ciełe siedzi. Niech ci w niebie wszystkie rozkosze służą.

Orla. Trzeba go ziemi oddać.

Arjos. Nie mam czem ani wykopać grobu, ani do- być ognia. Zresztą nie można zapalić stosu, bo by nas dymem zdradził.

Orla. Wpuśćmy go do rzeki i poprośmy, ażeby go daleko stąd odniosła.

Arjos. Leciuchny, jak uschnięty krzak korkowy. Ty, Orlu, zabierz dzieci. Idźmy spiesznie.

Orla. I ostrożnie. Ty bądź wzrokiem a ja będę słuchem. Tędy najbliżej do rzeki... Przez wąwóz widać jej grzbiet połyskujący. Spijcie, maleńkie, ja was nie utopię...

Arjos. Ale po co masz się trudzić? Zostań, ja sam ciało odniosę i zaraz tu przylecę.

Orla. Tylko nie każ mi długo czekać — dreszcze biegają po mnie, jak jaszczurki. (*Arjos ze zwłokami starca na ramionach odszedł ku rzece*).

Wspaniałomyśne słońce, które nie odmawiasz swych łask nikomu i które wszystko widzisz, nie wydadaj nas prześladowcom! Niebiosa i góry zamilczcie przed nimi tajemnicę naszego schronienia! Wietrze, nie zanieś do nich odgłosów naszej mowy; zioła i trawy, wyprostujcie swe źdźbła, które idąc naginamy; gałęzie drzew, liście, doliny i potoki nie wskażcie drogi do naszej kryjówki! Spojrzcie na nasze obecne szczęście i ulitujcie się nad przyszłą niedolą! Miłosierdzia, miłosierdzia, miłosierdzia wszystkie twory i duchy! (*Arjos powrócił*).

Arjos. Złożyłem go na miękkich falach rzeki; błagałem ją, ażeby go niemi owiuęła i dnem szybko niosąc, ukryła na dnie morza. Pochwyciła go natychmiast i odbiegła. Teraz Orlo my utońmy w głębiach puszczy.

Widok 4.

Słońce przetoczyło już swój krąg ogniisty przez szczyt kopuły nieba, ale zlewało jeszcze strumienie żaru na ziemię. Ani jedną chmurką nie przestąpiło sobie żrenicy, jak gdyby chciało uważnie śledzić uciekających. Spiekota przyżęgała wargi, a pot oblewał twarze Orli i Arjosa, który niósł dzieci obudzone i uśmiechnięte. Po długiemi przemykaniu się krętymi ścieżynami weszli w wąwóz głęboki, którego strome ściany poroste były gesto splecionym lasem. Z trudem urpiąwszy się na jedną z nich i wybrawszy miejsce ostonięte, siedli znużeni. Orla przyłożyła dzieci do piersi.

Arjos. Musisz być głodna...

Orla. Zapomniałam o tem. Chciałabym jednak co zjeść, aby małym mleka nie zabrakło.

Arjos. Widzę tu blisko owoce, orzechy, jagody...

Orla. Niech nic na świecie nie będzie dla mnie, abys ty był ze mną. Jeśli mi drzewo nie da owoców, zdroj—wody, a słońce—światła, żyć będę. Ale jeżeli ty mnie opuścisz, ja znowu wpadnę w ręce Ukora lub Alruna.

Arjos. Orlo moja, obetrzyj oczy po złym widoku, to on cię przypomnieniem dręczyć nie będzie... Ja miałbym cię porzucić?... Dlaczego?

Orla. Może ci się sprzykrzę, może bać się będziesz, ażeby cię przy mnie nie zabili.

Arjos. Nie mów tak, bo złe duchy, które z pewnością koło nas krążą, słowa twoje pochwyca i potem ciągle będą za mną z ich echem biegały. A ja wtedy

SPIS RZECZY.

	Str.
W świecie	3
Alrun. . . .	11
Moronowie.	91
Zwiaszun	177
